

Autor: James Morrow

Tytuł: Abe Lincoln u McDonalda

(Abe Lincoln in McDonald's)

Z "NF" 3/92

Złapał ostatni pociąg odjeżdżający z roku 1863 i wysiadł w pochmurnym grudniu 2009, niedługo przed świętami, po czym przeszedł przez próg dekad i nie oglądając się za siebie stanął piątego lipca, żeby się porządnie rozejrzeć. Nie wystarczyło być zwyczajnym turystą; musi wnikać w ten czas i w to miejsce, ogarnąć wszystko swoją duszą.

W kieszeni kamizelki, przyciśnięta do trzepoczącego rozpaczliwie serca, spoczywała ostateczna wersja straszliwego Układu z Seward. Wystarczy, że złoży pod nim swój podpis - Jefferson Davis już to uczynił w imieniu odłączonych stanów - i rozbitý naród ponownie się zjednoczy. Nic prostszego jak jeden podpis: A. Lincoln.

Poprawiwszy wąski krawat zanurzył się w wypełniającym Pennsylvania Avenue chaosie i zaczął szukać banku.

- Mam złe wiadomości - oznajmił Norman Grant, odkładając słuchawkę telefonu jakby to był zatruty sztylet. - Badania Jimmy'ego dały wynik pozytywny.

Obwisła, przypominająca dynię twarz Waltera Shermana poblądła z przerażenia.

- Jesteś pewien? - "Pozytywny wynik", cóż za paradoksalne określenie! Ileż ironii kryło się w jego klinicznych znaczeniach: nicość, choroba, zagłada.

- Przeprowadziliśmy dwukrotnie badanie krwi, a potem jeszcze test na obecność antyciał. Przykro mi. Jim ma gorączkę Błękitnego Nilu.

Walter jęknął. Dzięki Bogu, że jego córka była akurat u Sheridanów; przed trzema laty Tanya otrzymała Jimmy'ego pod choinkę, z listem od Świętego Mikołaja, i od tego czasu bardzo pokochała starego niewolnika. Nazywała go swoim drugim ojcem. Walter nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego prosiła akurat o sześćdziesięciolatka, a nie o szczenię, stanowiące obiekt marzeń większości dzieci, ale z drugiej strony, czy komuś udało się zgłębić meandry umysłu przedszkolaka?

Gdyby tylko tego cholernego wirusa złapał ktoś inny, a nie akurat Jimmy! To nie był taki sobie, zwyczajny niewolnik. Prawda, że jeśli chodziło o pielęgnowanie ogrodu, pranie dywanów czy malowanie domu, to zawsze miał do wszystkiego dwie lewe ręce, ale ten jego związek z Tanyą! Był jej opiekunem, towarzyszem zabaw, powiernikiem, a nawet nauczycielem. Walter wciąż jeszcze nie mógł wyjść z podziwu nad tym wielkim odkryciem ubiegłego wieku: wystarczy przykuć do komputera odpowiednio młode szczenię (najlepiej w wieku od dwóch do sześciu lat), a ono wchłonie ogromne zasoby wiedzy i następnie we wspaniały sposób przekaże ją dzieciom. Tylko dzięki Jimmy'emu Tanya przyswoiła sobie znaczącą porcję informacji na temat geometrii, teorii muzyki, historii Ameryki i Grecji, zanim

jeszcze pierwszy raz poszła do przedszkola.

- Jakie są prognozy?

Lekarz westchnął ciężko.

- Rozwój choroby przebiega zawsze w ten sam sposób. Mniej więcej za rok dojdzie do drastycznego osłabienia odporności jego organizmu, w wyniku czego zostanie wydany na pastwę setek złośliwych infekcji. Jednak najbardziej, rzecz jasna, niepokoi mnie ciąża Marge.

Blade ciało Waltera pokryło się gęsią skórą.

- Czy to znaczy, że... że to może zaszkodzić dziecku?

- Cóż, Ośrodek Kontroli Chorób zaleca natychmiastowe usunięcie wszystkich zarażonych wirusem ruchomości z domów, w których przebywają ciężarne kobiety.

- Usunięcie? - powtórzył z oburzeniem Walter. - Przecież chyba istnieje coś takiego jak bariera pigmentacji?

- To prawda - odparł Grant, ścisząc wyraźnie głos - ale tu chodzi o z a r o d e k, Walterze, rozumiesz? Zarodki nie mają rozwiniętego systemu odpornościowego. Nie wolno nam ryzykować, szczególnie wtedy, kiedy mamy do czynienia z retrowirusem.

- Boże, to okropne. Naprawdę sądzisz, że istnieje ryzyko?

- Powiem to inaczej: gdyby to moja żona była w ciąży...

- Dobrze, już dobrze.

- Przyrowadź Jimmy'ego w przyszłym tygodniu; wszystkim się zajmiemy, szybko i bezboleśnie. Odpowiada ci wtorek, druga trzydzieści?

Oczywiście, że odpowiadał. Walter zajął się ortodoncją

głównie ze względu na płynne godziny pracy i brak istotnie poważnych przypadków, a także dlatego, że dzięki temu nie musiał płacić za aparaciki swoich dzieci.

- W takim razie do wtorku - powiedział, kładąc dłoń na zdruzgotanym sercu.

Prezydent wyszedł z siedziby Północnowschodniego Banku Federalnego i ruszył dalej w kierunku zwieńczonego dachem przypominającym melonik Kapitolu. Cóż za wspaniały budynek; dzięki niemu w mieście było cokolwiek innego oprócz szklanych wieżowców i smutnych, szarych banków.

- To byłaby całkiem normalna operacja, gdyby wciąż jeszcze obowiązywał parytet złota - pisał pełniący obowiązki zastępcy dyrektora głupiec nazwiskiem Meade, kiedy Lincoln zażądał wymiany swoich monet. A więc zrezygnowali ze złota! Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że musieli maczać w tym palce demokraci.

Na szczęście Aaron Green, Główny Wróżbiarz Prezydenta i Doradca Do Spraw Podróży w Czasie, przygotował go na zadziwiające potworności i pokrętnie innowacje, które teraz atakowały jego zmysły. Po wyłożonych czarnym kamieniem ulicach pędziły pozbawione koni zaprzęgi, nad jego głową co chwila przelatywały wielkie, metalowe ptaki, niosące podróżnych na drugi koniec kraju z prędkością wieluset mil na godzinę, zaś wszędzie wokół rozbrzmiewała kakofonia trąbnięć, zgrzytów i mechanicznego warkotu.

Tak, Waszyngton najwyraźniej znajdował się w

najwłaściwszej dla siebie epoce, ale czy to samo można było powiedzieć o całym narodzie?

Dwie grupy obnażonych do pasa niewolników pracowicie przebudowywały Pennsylvania Avenue - pierwsza rozbijała asfalt kilofami, zaś druga układała w wykopie grube rury. Na pokrytych potem grzbietach nie było widać żadnych blizn, ale nie należało się temu dziwić, jako że nadzorcy nie mieli biczów, tylko dziwne, jednokomorowe pistolety i lekkie karabiny.

Na zatłoczonym skrzyżowaniu z Constitution Avenue - ogromna liczba znaków, koszu na śmieci i małych, świecących budek regulujących ruch powozów - uwagę Lincolna przykuły dwie zielone strzałki. Na skierowanej na wschód widniał napis "Kapitol", zaś na wskazującej przeciwny kierunek "Pomnik Lincolna". Jego własny pomnik! A więc przyszłość, skryta w złowieszczym cieniu Układu z Seward, okazała się dla niego łaskawa.

Zatrzymał taksówkę i zdjęwszy cylinder wcisnął z trudem swoje mierzące ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów ciało na tylne siedzenie (nigdy nie należy siadać z przodu, ostrzegł go Aaron Green).

- Dzień dobry - powiedział pogodnie.

Siedząca za kierownicą pulchna kobieta odwróciła się i odsunęła fragment oddzielającej ich szyby.

- Lincoln, zgadza się? - zapytała przez otwór niczym Pyram rozmawiający z Tysbe. - Masz wyglądać jak Lincoln, no nie? Przebieraniec?

- Nie, republikanin.

- Dokąd?

- Do Bostonu. - Jeżeli jakiegokolwiek miasto miało pozostać zagrzebane w przeszłości, to mógł to być tylko Boston.

- Boston, Massachusetts?

- Zgadza się.

- Czyś ty oszalał, chłoptasiu? To co najmniej pięć godzin jazdy, nawet jeśli stale będę przekraczała dozwoloną prędkość. Będziesz musiał zapłacić też za drogę powrotną.

Prezydent wyjął z kieszeni płaszcza sakiewkę z pieniędzmi. Chociaż ich wartość opierała się teraz wyłącznie na dobrych intencjach, dwudziestowieczne pieniądze powinny okazać się odpowiednie przynajmniej pod względem estetycznym: szlachetny profil na jednocentówkach, przystojne oblicze na pięciodolarówkach. Z tego, co się zorientował, wynikało, że tylko on i Waszyngton zostali uhonorowani dwukrotnie.

- Ile to będzie razem?

- Serio? Jakież czterysta dolarów.

Abe odliczył żadaną sumę i podał banknoty przez okienko.

- W takim razie proszę mnie zawieźć do Bostonu.

- Są takie ś l i c z n e ! - wykrzykiwała co chwilę

Tanya, wędrując u boku Waltera po Niewolniczym Supermarkecie

Sonny'ego, olbrzymim sklepie ustępującym rozmiarami jedynie

sklepowi z artykułami sportowymi. - Spójrz na tego, jakie ma

duże uszka! - W szklanych klatkach roiło się od dzieci,

ściskających w rączkach najróżniejsze zabawki i bezustannie

potykających się jedno o drugie. - Czy możemy kupić jednego,

tatusiu?

Serce Waltera ścisnęło się boleśnie, kiedy spojrzął w dół i zobaczył rozpromienioną twarz córki.

- Tanya, mam złe wiadomości. Jimmy jest bardzo chory.

- Chory? Przecież dobrze wygląda.

- To Błękitny Nil, kochanie. Jimmy umrze.

- Umrze? - Tanya skrzywiła się rozpaczliwie, usiłując za wszelką cenę powstrzymać napływające do anielskich oczu łzy; dzielny berbec, pomyślał Walter. - Niedługo?

- Niedługo. - Gardło bolało go jak zwichnięte kolano. -

Wiesz, co zrobimy? Kupimy zaraz małego szczeniaczka, ale nie będziemy go używać, dopóki...

- Dopóki Jimmy... - stłumiony szloch - ... nie odejdzie?

- Uhm.

- Biedny Jimmy.

Kiedy zbliżyli się do lady, za którą stał szczupły, żółty mężczyzna, z przyciśniętym do górnej wargi językiem ustawiający metodycznie piramidę opakowań jednorazowych pieluszek, w nozdrza Waltera uderzył słodki, ożywczy zapach nowo narodzonych szceniąt.

- Proszę, proszę, oto dziewczynka, która na pewno potrzebuje przyjaciela! - powiedział śpiewnie Azjata, obdarzając Tanyę sztucznym uśmiechem.

- Nasz najlepszy niewolnik zachorował na Błękitny Nil - wyjaśnił Walter - więc chcielibyśmy...

- Proszę nic więcej nie mówić. - Sprzedawca uniósł obie dłonie jakby kierował ruchem na skrzyżowaniu. - Możemy

zatrzymać dla pana wybrany egzemplarz aż do sierpnia.

- Obawiam się, że to potrwa znacznie krócej.

Sprzedawca zaprowadził ich do klatki, w której znajdowało się samotne szczenię, ssące pracownicę małą, plastikową kosiarkę do trawy. "Samiec, 3 mies., cena \$399.95", głośno tabliczka.

- Dostaliśmy go dopiero wczoraj. Gwarantuję, że w ciągu dwóch tygodni przestanie się zanieczyszczać.

- Był już szczepiony?

- Oczywiście. Zostało jeszcze tylko polio, ale to w przyszłym miesiącu.

- Tatusiu, on jest uroczy! - zapiszczała Tanya, podskakując z podniecenia. - Kocham go! Weźmy go jeszcze dzisiaj do domu!

- Nie możemy, pomidorku, bo Jimmy byłby zazdrosny. - Walter mrugnął do sprzedawcy i podał mu dwudziestodolarowy banknot. - Proszę dopilnować, żeby przez ten weekend był dobrze karmiony.

- Oczywiście, proszę pana.

- Tatusiu?

- Tak, pomidorku?

- Czy jak Jimmy umrze, to pójdzie do nieba dla niewolników i spotka tam swoich starych przyjaciół?

- Jak najbardziej.

- I Buzzy'ego też?

- Jego przede wszystkim.

Walter uśmiechnął się z dumą. Buzzy umarł, kiedy Tanya



miała zaledwie cztery latka, a mimo to go zapamiętała!

Strasznie kanciasta ta przyszłość, pomyślał Abe wysiadając z taksówki i rozprostowując swoje długie, zdrętwiałe kończyny.

Boston zamienił się w miejsce pełne cegieł, kamieni, smoły, szkła, żelaza i stali.

- Proszę tu zaczekać - powiedział do kobiety.

Wszedł do parku. Urocze miejsce, uznał, mijając nieśpiesznym krokiem grupę niewolników zajęłą sadzeniem kwiatów - dumnych tulipanów, misternie pozwijanych gladioli i narcyzów o mocno zaciśniętych ustach. Po znajdującym się w pobliżu stawie pływała wykonana w kształcie łabędzia łódź, a w niej biała rodzina i schylony nad wiosłami podrostek o skórze koloru obsydianu.

Opuściwszy park obrzucił spojrzeniem Boylston Street. W odległości jakichś stu metrów od niego potężnie zbudowany, irlandzki nadzorca obserwował unoszącą się w górę platformę z kilkoma niewolnikami wyposażonymi w przybory do mycia szyb. Dobry Boże, co za praca - frontowa ściana gigantycznej budowli musiała sobie liczyć co najmniej milion metrów kwadratowych i składała się wyłącznie z lustrzanego szkła.

Kanciasta i wymagająca... a mimo to Abe poczuł, jak ogarnia go niezwykły spokój.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy zaczął pojmować prawdziwą przyczynę wojny. Uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy nie chodziło wcale o niewolnictwo, lecz, jak zawsze w polityce, o władzę. Południowcy zbuntowali się, ponieważ chcieli wziąć w

swoje ręce los kraju. Jak długo wszystko zależało od ponurej, prymitywnej, uprzemysłowionej Północy, ich ojczyzna nie miała najmniejszych szans na to, żeby w pełni rozkwitnąć. Usiłując rozprzestrzenić niewolnictwo na nowych terytoriach wszyscy południowcy, zarówno ci, którzy nienawidzili tej instytucji, jak i ci, którzy ją kochali, mówili jednym głosem:

"Przeznaczeniem naszego kraju jest po wsze czasy rolnicza utopia."

Teraz jednak stał w sercu Bostonu, rojącego się od niewolników, a mimo to ponad wszelką wątpliwość kroczącego drogą postępu. Wszystko wskazywało na to, że Układ z Seward nie stał się jednak kamieniem węgielnym feudalizmu i zacofania, czego obawiali się doradcy prezydenta. Zgoda, był okrutny i moralnie dwuznaczny, lecz mimo to niewolnictwo nie przykuło kraju do przeszłości, nie spowolniło marszu do nowoczesności i potęgi.

- Podpisz Układ - usłyszał jakiś wewnętrzny głos. -

Zakończ wojnę.

W niedzielę wypadła Czwarty Lipca, co oznaczało coroczny piknik z Burnside'ami, czyli z nudnym Ralphem i prostacką Helen - beznadziejne popołudnie spędzone na rzucaniu podkową, nadmiernym picu i ogłupiającej paplaninie; jedynym jaśniejszym punktem miały być przygotowane przez Libby kotlety schabowe. Marge specjalizowała się w zakupach na wyprzedazach i tam właśnie udało jej się nabyć Libby, zdrową, dobrze ułożoną samicę, która przypadkiem okazała się

także znakomitą kucharką, co przynajmniej dziesięciokrotnie zwiększyło jej wartość.

Burnside'owie spóźnili się o godzinę, bowiem ich riksarz Zippy złamał sobie dzień wcześniej nogę, zmuszeni więc byli skorzystać z Bubble'a, znacznie gorzej zbudowanego ogrodnika. Dzięki temu Walter zyskał rozkoszne sześćdziesiąt minut, podczas których nie musiał wysłuchiwać opinii Ralpha na temat ostatnich wydarzeń sportowych. Kiedy się wreszcie zjawili, pierwszym zdaniem, jakie wyszło z usta Ralpha, było:

- A nie mówiłem, że u Soxów nie ma porządnego rzucającego?

Walter natychmiast zeszywniał, ale na szczęście Libby hojnie rozlewała bourbona, dzięki czemu o trzeciej po południu udało mu się osiągnąć taki stan znieczulenia, że bez oporów zgodziłby się nawet na amputację, a cóż dopiero mówić o chłonięciu opinii Ralpha na temat Soxów, Celticów i Patriotów.

Po szóstym drinku jego odrętwienie przerodziło się w rodzaj dumnej odwagi, w związku z czym z niezachwianym spokojem zaczął analizować swoje położenie. Tak, to prawda, że jego żona najprawdopodobniej spała z kilkoma wykładowcami z Ośrodka Kształcenia Dorosłych w Wellesley - szczególnie podejrzany był ten nadmiernie umięśniony instruktor garncarstwa, choć opiekuna kółka dramatycznego też chyba coś bardzo swędziało w spodniach - ale z drugiej strony Walterowi także zdarzało się użyć swego fotela w charakterze motelowego łóżka, nie wspominając już o cośrodowych figielkach z Katie Mulligan w łaźni Parowej w West Newton. Poza tym, spójrzcie na ten wspianiały dom z kręgielnią, kortem tenisowym i dwudziesto-

pięciometrowym basenem. Spójrzcie na kwitnącą praktykę. Na konto w banku. Porsche. Sebrną riksę. Śliczną córkę pluszczącą się w sterylnie czystej, turkusowej wodzie (niech szlag trafi Happy'ego, znowu dał za dużo chloru). Spójrzcie wreszcie na jego krępa, uroczą Marge, unoszącą się dostojnie na plecach, z ciężarnym brzuchem sterczącym z głębin niczym wulkaniczna wyspa. Walter był pewien, że dziecko jest jego. Przynajmniej w osiemdziesięciu pięciu procentach.

Bez wątplenia udało mu się coś osiągnąć w życiu.

O zmroku, kiedy Happy zapalił fajerwerki, rozmowa zeszła na temat Błękitnego Nilu.

- W zeszłym tygodniu daliśmy do zbadania Jimmy'ego -  
wyznał Walter wypuszczając z głębi piersi małe tornado smutku.

- Wynik pozytywny.

- Mój Boże, i pozwoliliście mu zostać w domu? - załkał Ralph, chwytając za rękojeść swojego parabellum. W niebo poszybowała kartonowa rakieta, by po chwili wybuchnąć tuzinem szkarłatnych gwiazd, których odbicia zamigotały w wodzie basenu niczym fosforyzujące ryby. - Powinniście nam wcześniej powiedzieć. Może nam zarazić Bubble'a.

- Ten wirus trudno się przenosi - odparł Walter. W górze przemknął ze świstem szrapnel, w następnym ułamku sekundy zamieniając się w błękitno-czerwoną mandalę. - Można się zarazić tylko przez ślinę lub krew.

- Ale i tak nie uwierzę, że go zatrzymacie. Przecież Marge jest w ciąży i w ogóle...

Dziesięć ognistych kul poszybowało w noc niczym jaskółki.

- Szczerze mówiąc, umówiłem się z Grantem na poniedziałek.

- Wiesz co, Walter? Gdyby Jimmy był mój, dałbym mu szansę umrzeć z godnością. Nie prowadziłbym go do kliniki.

Na niebie wykwitł ułożony ze sztucznych ogni portret  
Lincolna.

- A co byś zrobił?

- Wiesz doskonale, co.

Walter skrzywił się. Godność. Do cholery, Ralph miał rację.  
Jimmy służył rodzinie z oddaniem i ochotą. Byli mu to winni.

Prezydent wkroczył do baru McDonalda, rozkoszując się  
zapachem zawieszonych sosów i przypraw, który prześlizgnął się  
po jego języku i stoczył do żołądka. Gdyby nie był już na  
stałe przykuty do innego czasu - jako polityk, prawnik, a także  
bohater rodzącego się powoli mitu - z pewnością chciałby się  
osiedlić tutaj, w 2010. McDonald wywarł na nim wielkie  
wrażenie. Oferowane tu menu, a szczególnie frytki, koktajle  
waniliowe, coca-cola i pieczone kurczęta, w porównaniu z  
dziewiętnastowieczną dietą stanowiło ogromny krok naprzód. Do  
tego wszystkiego dochodził jeszcze kojący wystrój wnętrza, w  
którym każda płaszczyzna była czysta i gładka, jakby wycięta z  
bryły ciepłego lodu.

W oknie wisiał ogromnych rozmiarów portret jakiegoś clowna  
imieniem Ronald, zaś na zewnątrz, po drugiej stronie ulicy  
ułożony z eleganckich, staroświeckich liter napis informował,  
że mieści się tam Klub Country "Na Orzechowym Wzgórzu". Nieco  
dalej, na rozległych, trawiastych terenach mężczyźni i kobiety

wykonywali dziwne czynności, polegające na uderzaniu niewielkich piłeczek długimi, noszonymi przez niewolników w specjalnych torbach, kijami.

- Przepraszam panią - zwrócił się Abe do siedzącej obok niego pucołowatej kobiety. - Czym zajmują się ci ludzie? Czy ma to jakiś związek z religią?

- Nie ma co, wcale z pana udany Lincoln. - Kobieta trzymała w dłoni przyrząd do pisania i stawiała litery w małych kratkach na ostatniej stronie leżącej na stoliku gazety. - Serio pan pyta? Po prostu grają w golfa.

- Czy to jakiś sport?

- Uhm. - Kobieta zabrała się za następną krzyżówkę.

- Coś w rodzaju krykieta, prawda?

- Po prostu golf i już.

Pofałdowane niczym powierzchnia morza pole golfowe przywiodło Lincolnowi na myśl pagórkowate rejony Wirginii, gdzie znajdowała się forteca generała Lee. Z ust szesnastego prezydenta wydobył się cichy jęk. Odrzuciwszy Hookera i Sedgwicka na drugi brzeg Rappahannock, Lee zyskał znakomitą pozycję wyjściową do zaatakowania terenów Unii, albo poprzez bezpośrednie uderzenie na Waszyngton, albo, co wydawało się bardziej prawdopodobne, tworząc niezależne korpusy pod dowództwem Longstreeta, Hilla i Ewella, i wkraczając do Pensylwanii. Spustoszywszy przygraniczne miasta z pewnością przetnie drogę, którą docierało zaopatrzenie i posiłki do Vicksburga, po czym zacznie przygotowywać armię Północnej Wirginii do ostatecznego szturmu na stolicę.

Było to zbyt straszne, żeby się nad tym zastanawiać.

Abe westchnął ciężko, wyjął z kieszeni kamizelki Układ z Seward i poprosił sąsiadkę, żeby zechciała pożyczyć mu na chwilę swego pióra.

W poniedziałek był dzień wolny od pracy. Zaraz po śniadaniu Walter przebrał się w strój do golfa, wyciągnął z kąta kije i oznajmił Jimmy'emu, że spędzą na polu cały dzień. Ostatecznie zdecydował się na przejście całej trasy, częściowo po to, żeby przećwiczyć wszystkie elementy gry, a częściowo dlatego, żeby nieco oddalić to, co nieuchronne.

Po najlepszym uderzeniu - 350 metrów, metalowy kij numer jeden - piłeczka przeleciała nad osiemnastą przeszkodą i wylądowała na trawie. Wszystko wskazywało na to, że ma szansę zakończyć grę już następnym uderzeniem, mieszcząc się tym samym z zapasem w limicie.

Ociekając potem w promieniach bezlitosnego, lipcowego słońca, Jimmy wyciągnął z torby kij przeznaczony do kończenia rozgrywek. Wspaniały okaz, dorodny i dobrze zbudowany, o dużych, żywych oczach, wełnistych włosach poprządkanych srebrnymi nitkami i potężnych, czarnych bicepsach, kontrastujących z białą koszulką jak czarne i białe kwadraty na szachownicy. Tak, z pewnością będzie go brakowało.

- Nie, Jimmy, nie trzeba. Podaj mi tylko torbę. Dziękuję.

Kiedy Walter wyciągnął spomiędzy kijów swój wojskowy karabin kalibru 22, na twarzy Jimmy'ego pojawił się wyraz zdumienia.

- Czy mogę zapytać, po co panu broń? - zapytał.

- Po to, żeby cię zastrzelić.

- Hę?

- Żeby cię zastrzelić!

- Jak to?

- W czwartek nadeszły wyniki badań. To Błękitny Nil,

Jimmy. Przykro mi. Bardzo chciałbym cię zatrzymać, ale to zbyt niebezpieczne, zwłaszcza że Marge jest przecież w ciąży.

- Błękitny Nil?

- Niestety.

Szczęki Jimmy'ego zacisnęły się z potworną siłą.

- W takim razie niech mnie pan sprzeda. To chyba uczciwie wyjście.

- Bądźmy rozsądni. Nikt nie kupi niewolnika, u którego stwierdzono Błękitny Nil, po to tylko, żeby patrzeć, jak choruje i umiera.

- W takim razie... W takim razie niech mnie pan uwolni. -

Po mahoniowej twarzy niewolnika ściekały strużki potu. - Spędzę ostatnie lata życia na wędrownie. Ja...

- Uwolnić cię? Nie wolno mi w ten sposób podważać podstaw naszej ekonomii. Jestem pewien, że sam to rozumiesz.

- Jest coś, co zawsze chciałem panu powiedzieć, panie Sherman.

- Słucham.

- Otóż moim zdaniem jest pan chyba największym dupkiem w całym Massachusetts.

- Nie ma potrzeby, żebyśmy w ten sposób ze sobą



rozmawiali, Jimmy. A teraz usiądź sobie tutaj na trawie i...

- Nie.

- Proszę cię, nie komplikuj sytuacji. Usiądź, a ja strzelę ci w tył głowy. To bezbolesna, godna śmierć. Jeżeli będziesz uciekał, dostaniesz kulę w plecy. Wybór należy do ciebie.

- Oczywiście, że będę uciekał, ty zdegenerowany debilu!

- Siadaj!

- Nie!

- S i a d a j !

Jimmy odwrócił się i popędził w kierunku szczytu pagórka.

Walter błyskawicznie podrzucił karabin do ramienia i niczym biolog, kierujący obiektyw mikroskopu na preparat, uchwycił w pole widzenia potężnej lunety oddalające się szybko plecy swojej własności.

- Stój!

W chwili, gdy Jimmy znalazł się na szczycie wzgórza, Walter nacisnął spust. Kula przeszła lewą tydkę niewolnika, który wydał przeciągły, ochryply skowyt i runął na ziemię, ale niemal natychmiast podniósł się, ściskając w dłoni zgubiony przez kogoś, zardzewiały kij, mając najwyraźniej zamiar posłużyć się nim jako laską. Nie zdążył jednak tego uczynić, bowiem kiedy się wyprostował, nitki celownika spoczęły na jego wysokim, pokrytym zmarszczkami czole i Walter ponownie nacisnął spust.

Pocisk wyszedł przez skroń, wrywając znaczny fragment kości, skóry i mózgu. Ciało Jimmy'ego skręciło się w powietrzu i upadło tuż koło obsypanego białymi kwiatami krzaka róż. Godna

śmierć, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości.

Z oczu Waltera, niczym z dwóch kroplomierzy, pociekły łzy.

Och, Jimmy, Jimmy... A najgorsze miało dopiero nadejść.

Oczywiście, Tanya nie mogła dowiedzieć się prawdy. "Jimmy bardzo cierpiał" - powie jej. "To było nie do wytrzymania, więc pan doktor go uśpił. Teraz jest już w niebie dla niewolników".

Pożegnają go uroczystie, z kwiatami i minutą ciszy. Możliwe, że uda mu się namówić pastora McCellana, żeby wziął udział w ceremonii.

Walter ruszył w kierunku szczytu wzgórza. Żeby urządzić pogrzeb, potrzebne jest ciało. Z pewnością ludziom z kostnicy uda się jakoś załatać głowę, nadać twarzy wyraz błogiego zadowolenia i złożyć dłonie na piersi...

Z przeciwnej strony zbliżał się wysoki, brodaty mężczyzna w stroju Abrahama Lincolna. Chyba jakiś ekscentryk, a może nawet prawdziwy wariat. Walter utkwił spojrzenie w krzaku róż i przyśpieszył kroku.

- Widziałem, co pan zrobił - powiedział z oburzeniem w głosie nieznajomy.

- Chłopak zachorował na Błękitny Nil - wyjaśnił Walter.

Słońce uderzało w jego twarz niczym nadzorca na rzymskiej galerze, wyznaczający rytm dla przykutych do wioseł niewolników. - To był akt łaski. Hej, Czwarty Lipca był przecież wczoraj, więc po co to przebranie?

- Wczoraj jeszcze wcale nie jest za późno - oświadczył zagadkowo nieznajomy, wyciągając z kieszeni jakiś pożółkły papier. - Nigdy nie jest za późno - dodał i skąpany w gorącym

blasku słońca przedał kartkę na pół.

Dla Waltera Shermana, osłabionego upałem, zrozpaczonego utratą niewolnika i zmęczonego spoczywającym na nim ciężarem łaski, świat nagle zmętniał do tego stopnia, że z trudem tylko mógł dostrzec wysoką postać nieznanego, oddalającą się szybkim krokiem w kierunku pobliskiego baru McDonalda. Walter czuł, że zbliża się niezwykle wieczór i jeszcze bardziej niezwykle dni, podczas których zachwieją się i runą niewzruszone do tej pory podstawy dotychczasowego sposobu życia. Przeczuwał tę niepokojącą przyszłość, stojąc bez ruchu w pobliżu golfowego dołka.

Wrażenie to jeszcze bardziej się nasiliło, kiedy z walącym rozpaczliwie sercem, zamglonymi oczami i głową wypełnioną oślepiającym światłem zatoczył się w kierunku krzaka róż.

Przecucie zamieniło się w pewność, gdy zamiast na zwłoki Jimmy'ego jego dłonie natrafiły na ciepłe jeszcze ciało humanoidalnej maszyny, skąpane w oleistej, sączącej się z przedziurawionej głowy cieczy.

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

JAMES K. MORROW

Amerykański krytyk i autor, ku fantastyce zwrócił się w 1981 r. pisząc powieść "The Wine of Violence". Wszystkie jego książki spotkały się z bardzo ciepłym przyjęciem krytyki. Za najlepszą powieść uchodzi "This is the Way to the Worlds End" z 1986 r. Morrowa interesuje człowiek i mit. A poza

pisarstwem - gry komputerowe i krytyka literacka.

D.M.